







ECHA LEŚNE.

PISMA STEFANA ŻEROMSKIEGO

- ARYMAN MŚCI SIĘ — GODZINA. Wydanie III. 1923.
- BIAŁA RĘKAWICZKA. Sztuka w 3-ch aktach z prologiem i epilogiem. 1921.
- BICZE Z PIASKU. (Początek Świata Pracy. Organizacja inteligencji zawodowej. Drożyzna i Zamoyszczyzna. Nowa Warszawa). 1925.
- DLA MŁODZIEŻY. Książka pierwsza. 1921.
- DLA MŁODZIEŻY. Książka druga. 1921.
- DUMA O HETMANIE. Wydanie V. 1923.
- DZIEJE GRZECHU. Powieść w 2 tomach. Wydanie VI. 1924.
- BCHA LEŚNE. Warszawa 1920.
- INTER ARMA. Warszawa 1920.
- LUDZIE BEZDOMNI. Powieść w 2 tomach. Wydanie V. 1923.
- MIĘDZYMORZE. Warszawa 1923.
- MOGIŁA. Warszawa. 1923.
- OPOWIADANIA. (Doktór Piotr. — Cokolwiek się zdarzy. — Ananke. — Zmierch. — Złe przeczucie. — Po Sedanie. — Zapomnienie. — Pokusa. — Siłaczka. — Oko za oko. — Niedziela). Wydanie V. 1923.
- O PRZYSZŁOŚĆ RAPPERSWILU. Kraków 1912.
- ORGANIZACJA INTELIGENCJI ZAWODOWEJ. Warszawa 1919.
- FOCZĄTEK ŚWIATA PRACY. Kraków 1919.
- POMYŁKI. Warszawa. 1923.
- PONAD ŚNIEG BIELSZYM SIĘ STANĘ. Warszawa. 1920.
- POPIOŁY. Powieść z końca XVIII. i początku XIX. w. w 3-ch tomach. Wydanie VI. 1925
- POWIEŚĆ O UDAŁYM WALGIERZU. Wydanie III. 1923.
- PROJEKT AKADEMJI LITERATURY POLSKIEJ. Wyd. II. Warszawa 1925.
- PROMIEŃ. Powieść. Wydanie IV. 1923.
- PRZEDWIOŚNIE. Powieść. Warszawa. 1925.
- ROZDZIÓBIA NAS KRUKI, WRONY. Wydanie IV. 1923.
- RÓŻA. Dramat niesceniczny. Wydanie IV. 1923
- SEN O SZPADZIE. Kraków. 1914.
- SEN O SZPADZIE I SEN O CHLEBIE. Warszawa 1923.
- SIŁACZKA. -- NA POKŁADZIE. (B. U. L. Nr. 5). 1907.
- SŁOWO O BANDOSIE. Wydanie II. 1920
- SNOBIZM I POSTĘP. Warszawa. 1923.
- SUŁKOWSKI. Tragedja. Wydanie IV. 1923.
- SZYFOWE PRACE. Powieść. Wydanie VI. 1924.
- TUROŃ. Dramat w 3-ch aktach. Warszawa. 1923.
- UCIEKŁA MI PRZEPIÓRECZKA... Komedja. Wydanie II. Warszawa. 1925.
- URODA ŻYCIA. Powieść w 2 tomach. Wydanie III. 1925.
- UTWORY POWIEŚCIOWE. (Na pokładzie. — O żołnierzu tułaczku — Tabu. — Cienie. — Kara. — Legenda o bracie leśnym). Wydanie V. 1923
- WALKA Z SZATANEM. I. NAWRACANIE JUDASZA. Powieść. 1921.
- WALKA Z SZATANEM. II. ZAMIEĆ. Powieść. 1921.
- WALKA Z SZATANEM. III. CHARITAS. Powieść. 1921.
- WCZORAJ I DZIŚ. Serja Pierwsza. (Tabu. — Ananke. — Doktór Piotr. — Siłaczka. — Kara). 1925.
- WCZORAJ I DZIŚ. Serja Druga. (Zmierch. — Cokolwiek się zdarzy. — Na pokładzie. — O żołnierzu tułaczku). 1925.
- WIATR OD MORZA. Wydanie II. Warszawa. 1922.
- WIERNA RZEKA. Klechda domowa. Wydanie IV. 1925.
- WISEŁA. Wydanie II. Warszawa. 1920.
- WSZYSTKO I NIC. Wydanie II. Warszawa 1923.
- ZMIERCH. — COKOLWIEK SIĘ ZDARZY. (B. U. L. Nr. 41). 1907.

STEFAN ŻEROMSKI

ECHA LEŚNE

WYDANIE TRZECIE

WARSZAWA MCMXXVI KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
NAKŁAD T-WA WYDAWNICZEGO W WARSZAWIE

<http://rcin.org.pl>

Przedruki nieuprawnione przez autora wzbronione.
Wszelkie prawa autorskie co do tłumaczeń i przeróbek zastrzeżone
Copyright by Stefan Żeromski, nineteen hundred twenty six

3423 *

I-17.454



KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

<http://rcin.org.pl>

Pan generał Rozłucki siedział uroczyście na stołku składanym. Stołek ów, (własność przenośna geometry Knopfa), mieścił się w samym środku dywanu, zdjętego z nad łóżka mojej matki. Po drugiej stronie ogniska, na pniaku, z wzorową starannością zasłanym pledem, w gumowym płaszczu do samej ziemi, niby w ruchomym namiocie, kurczył się i wykrzywił wzmiankowany wyżej geometra Knopf. Obok niego w rosochatych gałęziach wykrota, przyniesionego przez strzelca, niewygodnie tkwił podleśny Guńkiewicz, piastując z pieczołowitością szklaneczkę araku z dodanemi dla pozorów dwiema łyżeczkami herbaty. Pisarz gminny Olszakowski i stary wójt Gała z miedziakiem «z a uśmierzenie polskiego miatieża» na rudziej sukmanie, siedzieli obok siebie. Ojciec mój, przywykły na polowaniach do lasu, wpół leżał na ziemi, a niżej podpisany, zaszczycony właśnie «promorą» z klasy drugiej do trzeciej, był wszędzie, gdzie go nie posieli.

Dymisyonowany generał Rozłucki, plenipotent jednego z najbardziej sowiecie obdarowanych donataryuszów, zjechał był właśnie do folwarku od dawien dawna dzierzawionego przez mego ojca, ażeby, wskutek wynikłych z «ukazu» zamian gruntów, przyłączyć z lasów rządowych do obszaru dworskiego znaczny płat boru. Odcięcie trójkąta leśnego już się prawie dokonało. Geometra Knopf, który od tygodnia «bawił» w domu naszym, ku śmiertelnemu wszystkim udręczeniu, wyciął nareszcie «linię», a wynajęci drwale już ją oddawna rąbali w starym, ciemnym lesie. Plenipotent, który również gościł już od trzech dni na folwarku, miał zamiar coprędzej oddać ojcu mojemu w obecności władz miejscowych las przyłączony. Dwie partye chłopów rąbały linię, zbliżając się ku sobie ze stron przeciwnych. Sądzono, że uda się sprawę załatwić przed zachodem słońca. Tymczasem noc głucha zapadła, a linia nie była wycięta. Generał postanowił bądź co bądź nazajutrz wyjechać. Urzędnicy pragnęli również ukończyć czynność. Zgodzono się tedy, żeby prowadzić robotę nocą, choćby do rana.

Tuż pod lasem rozłożono ognisko. Ze dworu, odległego o jakie dwie wiorsty, przyniesiono kolację — i oto czekaliśmy na ścięcie kilkudziesięciu pozostałych 'jodeł, bawiąc się w miarę możliwości.

Wszyscy byli w nienajgorszych humorach. Poczciwy Guńkiewicz z resztą, «pożyczki» na skroniach i brodziną uczernioną taniem czernidłem, wychlipał już był conajmniej dziewięć szklanek herbaty z arakiem, obawiając się tkliwie, gdym mu nową podawał, czy też aby nie będzie za wiele. «boć to zdaje się, już trzecia...» Zapewniałem go ze stanowczością osoby, która nabyła właśnie wielkiej biegłości w arytmetyce aż do ułamków dziesiętnych, że «bynajmniej» — więc poddawał się, oczywiście ulegał z pokorą światłu wiedzy i przyjmował nową porcyjkę araku. Pisarz gminny Olszakowski, znawca wszelkiego rodzaju spraw człowieczych, osobliwie zaś powiatowogminnych sposobów piorunującego robienia majątku, (za co nawet «cierpiał» już był przez czas pewien w kieleckim kryminale), geniusz niewątpliwy, który mógłby z powodzeniem piastować urząd ministra spraw wewnętrznych, czy zewnętrznych, a nawet bez żadnego wysiłku te obiedwie godności, notoryczny łapownik, zdzierca chłopów, wyzyskiwacz żydów, najznakomitszy wymijacz prawa i grassant parafialny, pił mało ze względu na obecność generała i awansował się bardziej w kierunku ja-dła. Ponieważ jednak w swej wszechwiedzy nie sobie z tego generała nie robił, nie skąpił tedy zebrany pogodnego wesela ducha. Wójt Gała

chrupał zuchwami i łykał chyłkiem, co mu się podsunęło, pił zaś bez wstrętu, a pomrukiwał wesoło. Widać było, że chętnem i ochotnem sercem spełnia tę służbę państwową na pobrzeżu leśnem, oraz że chwali sobie na ogół dzisiejszą czynność. Nawet Knopf, chodzący katar żołądka, (tudzież kiszek), zeschły neurastenik, istota jadająca tylko rzeczy niektóre, lekkostrawne, niekwaśne, suche i to takie właśnie, jakich na wsi zapadłej, a osobliwie w górach świętokrzyskich nikt nigdy, jak świat światem, nietylko nie jadał, nie widział, ale nawet nie znał z nazwiska, — nudziarz, nie śpiający po nocach, nie znoszący piania kogutów, szczekania psów, bełkotu indorów, gęgania gąsiorów, a nawet gdakania kur — istna plaga egipska dla ludzi zdrowych, silnych, gospodarujących w miejscu, gdzie się kochano w psiarni, gdzie kundle, ogary, wyżły, jamniki, i wogóle «pieski» najrozmaitszego wieku i gatunku nietylko szczekały i wyły po całych nocach, ale nadto wylegiwały się po kanapach i sofach, — gdzie koguty piały bez przerwy, a gdy nie piały, to je za to natychmiast zarzynano, — nawet, mówię, Knopf był w niezłym tego dnia usposobieniu. Opowiedział zebrany jakąś anegdotkę kwaskowato-dowcipną o swej astrolabii, którą, według opinii złośliwych, ubierał we własne kalosze, spodnie, ma-

rynarkę i kapelusz dla ochrony przed deszczem... Puentę anegdoty zepsuł, coprawda, podleśny Guńkiewicz przedwczesnym wybuchem śmiechu w miejscu akurat nie zawierającym nic dowcipnego, — mimo to jednak Knopf się uśmiechał, co było istnym fenomenem na przestrzeni trzech gubernii i w ciągu kilku lat.

Generał, ramolcio nieźle zakonserwowany, trzymał się z właściwą powagą. Pisarza i wójta przy tej improwizowanej wieczerzy prawie nie dostrzegał, znosił jednak bez protestu ich obecność i nic nie miał przeciwko temu, żeby spożywali z apetytem kurczęta, płaty pieczeni na zimno takiej i owakiej, żeby, przymknąwszy oczy «spuszczali» kielichy «bretnalówki», «zagryzali» rzeczony kielichy szklanicami piwa, a «rozgrzewali się» herbatą z arakiem. Guńkiewicza zaszczycił od czasu do czasu słowem generalskiem, z Knopsem — rozmawiał. Sam jadł zwolna i popijał herbatę. Generał był Polakiem i ostentacyjnie mówił zawsze po polsku, nawet w urzędach. Znać było w jego wymowie pewne zacięcie i akcent rosyjski, ale ów akcent pasował jakoś do jego wyniosłej figury, do grubej kurty szczególnego kroju, okrągłej czapki z czerwonym lampasem i niebywalej wielkości daszkiem, do sukiennych kamaszów i siwych, podkręconych wąsów.

Ogień buchał, podsycany przez strzelca. Suche jałowiec palił się z wesołym trzaskiem. Z lasu leciał po rosie wieczornej łoskot siekier. Łoskot uderzał w lasy, w ogromne, świętokrzyskie bory jodłowe, w puszcze wilgotną, senną, głuchą. Echa ciosów mknęły od góry do góry, od kniei do kniei, w dal czarną, w noc, we mgłę. Odbite, wypędzone, dalekie głosy drżały kędyś za światem i z za świata wołały. Przelekle, niewymowne wracały z dali, z mozarów, gdzie nikt nie chodzi, gdzie «straszy». Co pewien czas rozlegał się wśród stuku siekier jadowity trzask lecącego drzewa, szum i łomot obszaru jego gałęzi, potężny, głuchy grzmot upadku wielkiego pnia. Echo porywało ten głos i niosło w ciemnonocną dalekość wieść coraz głuchszą, o tym ciosie przejmujące zwiastowanie... Wszystko las łamał się i rozpadał, huczał wszystkimi drzewami świadectwo niezapomniane i żywym głosem z ciemności wzywał...

Wypląnął z zasłon leśnych olbrzymi, czerwony księżyc i wolno szedł wśród ciemnych obłoków. Towarzystwo zebrane przy ognisku zamilkło. Chłód powiał. Mój wierzchowiec, (siwa szkapa folwarczna, jasnokoścista pólemerytka, której po przyjeździe na wakacje obciąłem był ogon i grzywę, którą torturowałem popręgami starej kulbaki i zmuszałem do zabójczych ga-

lopów), stał w pobliżu ogniska. Widać było poczciwy łeb i przednie łopatki, kopyta na emeryturze, a nadewszystko oczy, przedziwnie rozmyślające o płonącym ognisku i o nas, ludziach tam zebranych...

Generał oddawna postawił szklanę na tacy i siedział wyprostowany, z nogą zgrabnie odstawioną, a piersią wysuniętą. Czasami oglądał się na las. Słuchał, jak echa grają, i znowu ustawiał głowę we właściwej formie.

Rzekł, zwracając się do Guńkiewicza:

— Panie podleśny, a jak daleko z tego oto miejsca do Suchedniowa?

Guńkiewicz postawił szklanę i z należytem pochyleniem zamaskowanej łysiny oświadczył, że na prostaki nie będzie dziesięciu wiorst.

— A pan tu drogi wszystkie zna? —

Guńkiewicz uśmiechnął się z dumą, czy politowaniem. Nie znajdował słowa zbyt dosadnego na wyrażenie swej znajomości tamtejszych wertepów: od lat dwudziestu kilku był podleśnym.

— Tak... — bąknął generał w zamyśleniu. — A pan taką drogę zna: od Zagnańska ku Wzdolowi? Była tam przy tej drodze karczma w szczerym lesie...

— Zagoździe — jakże! Stoi.

— Jedna korzenista droga szła stamtąd

w kierunku Suchedniowa, a druga, lepsza na Wzdół, na Bodzentyn.

— Tak jest, panie generale.

— Więc karczma, pan mówisz, stoi?

— Stoi. Najgłówniejsza złodziejska przystań i ucieczka. Z całej korony polskiej koniokrady tam się właśnie schodzą.

— Przed tą karczmą, za drogą, po drugiej stronie był wydmuch piasku. Duży żółty... Na tym wydmuchu rosło kilka brzóz...

— A to generał pamięta doskonale! Z tych tam brzóz tylko jedna została. A były już brzozy — ba — ba! Karczmarz łajdak je wyciął. Jedna z tych brzóz została i to dlatego, że o nią krzyż oparty. Już, szelma, tej tknąć nie śmiał.

— Co za krzyż? Skąd tam krzyż? — żywo spytał Rozłucki.

— A tam krzyż stoi... w tem miejscu...

— Z jakiej racyi krzyż w tem miejscu — a?

— Jak to krzyż, panie generale... Ludzie postawią, drudzy czapki uchylają — i tak se ta stoi... Już też i spróchniał od dołu, podparło go się tam z boku dwoma «pasierbami»...

— Kto postawił? — nalegał generał.

— Prawdę powiedziawszy... — mruknął niewyraźnie Guńkiewicz, uśmiechając się nieśmiało, — prawdę powiedziawszy, to ja ten krzyż postawiłem...

Drzewa tu mamy wbród. Wzięło się jodłę zdrową, jędrną, wystałą. Obrobił ją do kantu, a nawet tu obecny cieśla, a nasz teraz pan wójt...

— E, niema ta o czym, co ta... — opędzał się niechętnie wójt Gała.

— Wpuściło się drzewo w ten piach głęboko, głęboko...

— A dlaczegóż w tem właśnie miejscu?

— Dlatego, proszę łaski pana generała, że w tem miejscu leży człowiek pochowany, tam w tej wydmie.

— Człowiek pochowany... — powtórzył generał. — A pan tego człowieka znałeś może, co?

— A no... Juścić go znałem, bo na takim leśnictwie, jak moje, trudno było nie znać... Lasy wokolusieńko milami. Kto już w te lasy wlaźł, to mojego węgła, a nawet mojego łózka pewno nie ominął.

Generał zwiesił głowę i przez czas dość długi siedział w milczeniu. Wyjął wreszcie z bocznej kieszeni srebrną papierośnicę, otworzył ją niepewnymi palcami.

— A wiesz pan, — mówił z zimnym uśmiechem, — że ów człowiek, co tam pochowany leży, to mój rodzony bratanek...

Geometra Knopf, który dotąd siedział bez ruchu, zapatrzony w płomień ogniska z takim

zacięciem ust, jakby miał przed sobą coś obmier-
złego, rzucił na generała gwałtowne spojrzenie:

— Rymwid?! — zawołał.

Generał zwrócił się ku niemu:

— To właśnie... Rymwid... A i pan coś o nim
wiesz...

Knopf wykonał ustami szereg wykrzywień,
jakby przed chwilą pił czysty sok cytrynowy, ki-
wał chudą ręką w rozmaitych kierunkach, mru-
gał białymi powiekami. Wreszcie wśród najnie-
znośniejszych dla oka, a obłudnych uśmiechów,
mruknął:

— No tak... Rymwid... Rozumie się...

— Rymwid! — powtórzył generał z zacie-
kłością i szyderstwem. — On, porucznik mojego
pułku — Rymwid! «Kapitan»! No i dograł się...

— Więc to rodzony bratanek... — z trwogą
szeptał Guńkiewicz, wybałuszając ogłupiałe oczy.

— Rodzonego brata drugi z rzędu syn,
Jan — mówił generał w zadumie. — Brat mój
w sewastopolskiej wojnie pod Małachowym Kur-
hanem sławnie zginął. Generał major, mikołajew-
skich czasów człowiek. Za węgierską kampanię
nagrodzony stopniem, orderami, majątkiem w pen-
zeńskiej gubernii. Na polu bitwy umierając, mnie
tych dwóch synów swoich polecił. Jam mu bra-
terskie i żołnierskie słowo dał, że ich na ludzi

wychowam, w świat wyprowadzę. No i dochowałem słowa. I dochowałem... Starszy na Kaukazie służył i tam z cholery umarł w randze sztabskapitana. Piotr, bezzenny. Młodszy, Jan, przy mnie w pułku służył po skończeniu korpusu. Ożenił się młodo z Polką, Płazianką, synka małego miał, kiedy to podłe powstanie, przyszło. Przyszło to podłe powstanie, moi panowie, odkomenderowali... Ja wtedy byłem w randze podpułkownika. Poszliśmy w opoczyńskie...

Generał zamyślił się głęboko. Knopf skręcił w palcach misternie równego papierosa, wsunął go ostrożnie do cygarniczki i szukał pracowicie węgielka, od którego mógłby zapalić. Generał czekał, zdawało się, na chwilę, kiedy nareszcie zapali, a gdy Knopf zaciągnął się dymem, rzekł:

— No tak. Ten mój bratanek zdradził. Tylko co rozlokowaliśmy się na leżach, uszedł nocą do bandy. Rano jednego dnia raportuje mi kapitan Szczukin, że tak i tak: Jana niema. W kwaterze gdzieśmy stali, w Sielpi, znaleziono kartę na stole z zawiadomieniem mnie, jako dowódcy naówczas trzech batalionów, «że wierny obowiązkowi dla swej ojczyzny» — i tym podobne brednie. Mnie, swego przełożonego i stryja, wzywa, żebym także splamił swój oficerski honor, złamał przysięgę i uciekał za nim do bandy, do lasu. Tak to, moi panowie.

Knopf ćmił swego papierosa uważnie, powoli. Puszczął matematycznie dokładne kółka dymu i śledził je oczyma. Guńkiewicz nie chciał już pić herbaty. Siedział oszołomiony, patrząc w mówcę jak w tęczę...

— Doszły mię wieści, — ciągnął generał, — że nasz uciekinier jest szefem sztabu w jednej z band. No, dobrze... Poto, — mówi do mnie kapitan Szczukin, dowódca rot, pod którym mój bratanek służył, — poto poszedł. W wojsku służba twarda, ciężka, niewdzięczna, a w bandach służba lżejsza. Tam nasz praporszczyk byłby bez trudu i zachodu kapitanem... O co, jak o co, mówi, ale o awans w tych wojskach polskich nie trudno.

Knopf skończył swego papierosa i śmiał się z dowcipu kapitana Szczukina. Generał mówił:

— Szliśmy wciąż obławami to za taką partya, to za inną. Co wyjdziem od Końskich w Suchedniowskie lasy, to oni ujdą w głąb, ku Bodzentynowi. My się wrócimy, to ci za nami. Jeden szczególnie wódz, pułkownik czy kapitan, nazwiskiem «Walter», najbardziej nas zwodził. Palił nocą szerokie ogniska, niby to obóz, a sam usuwał się od takiego miejsca dosyć daleko i nocował bez ognia. My ciągniemy obławą, otaczamy cichaczem owe ognie dalekie, napadamy wreszcie nocą — pustka. A on tymczasem na uczyniony

hałas podchodzi, jak rabuś, strzela w naszych żołnierzy, pod blask ognisk i umyka w knieję. Miał i chłopów zbałamuconych, którzy nas nocą prowadzili na te fałszywe obozy.

Pisarz spojrział na wójta Gałę z podelba i uśmiechnął się niezdrowym śmiechem. Wójt siedział wyprostowany, z oczami wlepionymi w generała.

— Tak było wielekroć w Samsonowskiem...

— Pod Gozdem... — dorzucił Guńkiewicz.

— A i pod Gozdem...

— Pod Klonowem... — mruknął Knopf.

— Ale przerwała się zabawa, — wtrącił generał. — Na raz, na dwa, na trzy wreszcie się sztuka uda, ale nie na zawsze. Zdarzyło się, że szedłem ja na czele kilku rot od Zagnańska ku Wzdolowi, — ot tą drogą na karczmę. Zanocowałem w karczmie, a Szczukina posłałem z rotą na poiski tego Waltera. Do bitwy gałgan nie idzie, leży tygodniami w bagnie koło Klonowa, w Bukowej górze, — musimy go szukać. Ledwie tej nocy zasnął, budzi mnie adjutant, młody człowiek: strzały gęste w lasach. Ocknąłem się. Las rzeczywiście huczy... Ot, jak teraz. Żal... Serce boli. Posłałem ja drugą rotę na wsparcie Szczukinowi. Nie upłynęło więcej nad dwie godziny, nadciągnęli. Wprowadził ich chłop na obozowisko, ale



już teraz prawdziwe. Kiedy ich ogarnięto i uderzono bagnetem, większość wybiła się i pierzchła w las, sporo zginęło na miejscu. Szczukin przyprowadził wziętego w rękopasznom boju, krótko mówiąc, nie kogo innego, tylko mego bratanka, «Rymwida».

Miałem ja rozkaz nieodwołalny od mego generała brygady lasy aż po Bodzentyn oczyścić za wszelką cenę, — z prawem życia i śmierci. Nie było czasu na wysłanie jeńców do więzienia w Kielcach, a i siły miałem szczupłe. Oficerowie wzburzeni. We mnie jako w krewnego, surowym, pytającym wzrokiem patrzą. Kazałem złożyć sąd polowy i to natychmiast, bo trzeba było bandę ścigać bez zwłoki. Ja prezydujący, kapitan Szczukin i kapitan Eiedotow z prawej strony, porucznik von Tauwetter i feldfelbel Jewsiejenko — z lewej strony. Zasiedliśmy natychmiast w wielkiej izbie tej karczmy. Łojowa świeca paliła się w lichtarzu... Generał mówił coraz szybciej, niezrozumialej, coraz częściej wtrącał rosyjskie wyrazy, zwroty, zdania. Poprawił się na krześle i ciągnął:

— Przyprowadzili. Sześciu żołnierzy, on w środku. Mały, wychudły, czarny, oborwaniec. Włosy wzjeroszeny. Ledwie poznać... Spojrzę ja na niego: Jaś, rodzonego brata ulubiony syn... Na kolanach wyhodowałem... Jakieś na nim gał-

gany... Twarz przez całą szerokość rozorana bagnietem, sina, zapuchnięta. Jak wprowadzili, tak i stanął przy drzwiach. Czeka. A ty, sędzio, sądzi!

— No — tam pytanie urzędowe, formalne: — kto jest? — Milczy. Patrzymy w niego wszyscy. Towarzysz dobry, kolega kochany, dusza-człowiek, oficer pierwszorzędny. Twarz jego zrobiła się harda, zastygła, skrzywiona od jakiegoś uśmiechu, co tę twarz miłą, dobrą i miękką wykrzywił, podobnie — ot, jak kowal weźmie i wykrzywi w ogniu raz na zawsze miękkie żelazo w krzywy hak. Ci żołnierze, co go strzegli, to byli zarazem świadkowie. Zeznają, że go pojмали w lesie, nocą, bijącego się z nimi pierś w pierś, zeznają, że on i jest ten sam, ich własny porucznik, Rozłucki. Sprawa jasna, cóż tu więcej? Głosować... Wtedy zwraca się do mnie sędzia z prawej strony, kapitan Szczukin, i powiada, że chce jeszcze pod sądnemu pytania zadawać. Cóż, — zadawaj. Wstał Szczukin ze swego miejsca, kułakami oparł się o ten stół, ku niemu. Żyły mu na czoło wylazły, twarz zczerniała, jak ziemia. Oczy wlepił w winowajcę. Czekamy wszyscy, o co go jeszcze będzie badał. Tymczasem ten słowa wypowiedzieć nie może, bo człowiek był twardy, nieuczony. Nozdrza mu drgają, brwi się zeszyły. Zaczął wreszcie walić kułakiem w stół i wołać ku podsądnemu:

— Rozłucki! ty nie śmiejesz tu przed nami hardo stać! Nie śmiejesz w nas patrzeć takimi oczami! Tyś zaprzysięgał, czy nie? Coś zrobił z twoją przysięgą? Odpowiadaj! Przysięgałeś, czy nie?

— Przysięgałem — rzekł.

— Przysięgałeś, — jął znowu krzyzczeć Szczu-kin na całą karczmę, gniotąc stół pięściami, — a z tą świętą przysięgą ty coś zrobił? Tyś z szeregu uciekł do wroga! To prawda, czy nie?

— To prawda.

— Razem z innymi zdrajcami swego panującego, napadłeś na jego wojsko z zasadzki. Prowadziłeś zdrajców, dawałeś im najzgubniejsze wskazówki, uczyłeś ich, gdzie i jak uderzać. Ja sam widziałem cię dzisiejszej nocy z żołnierzami twej własnej roty. Ja tu świadczę, że widziałem, jak żołnierz Deniszczuk zranił cię bagnetem. To prawda, czy nie?

— To prawda.

— Jeżeli to wszystko prawda, to ty nam, żołnierzom prawym i wiernym w oczy tu mężnym wzrokiem patrzeć nie śmiejesz! Stoisz przed obliczem sprawiedliwego sądu. Twój własny stryj sąd nad tobą sprawuje. Spuść oczy i zniż się, bo ty jesteś zdrajca i nędznik!

On na to rzekł:

— Ja stoję przed sądem Boga. A ty mnie sądź według swojego sądu, jak chcesz.

Szczukin siadł.

Głosowanie. Dwa głosy padły za karą natychmiastową, Szczukina i von Tauwettera, dwa za odesłaniem pod konwojem do Kielc. Mnie tedy przyszło przechylić szalę. No, i przechyliłem... — mówił cicho, kiwając głową. Mieli wyprowadzić. Jew-siejenko wniósł, że może ostatecznie ma życzenie. Dałem głos. Spojrzał tedy na mnie temi pieczarami oczu, wlepił je we mnie. Staliśmy wszyscy za stołem. On podszedł blisko. Patrzy mi w oczy, ja w niego. Jakby dwie lufy pistoletowe przystawił... Pamiętam surowe słowa: Rozkazuję przed śmiercią, i to jest moja niewzruszona, ostatnia wola, żeby mój mały, sześćioletni syn Piotr był wychowany jako Polak, taki sam, jak ja. Rozkazuję, ażeby go uczyć, choćby to było przeciwne sumieniu wychowawcy, jak jego ojciec zrobił wszystko, aż do samego końca. Rozkazuję mu głosem głuchym, żeby pracował dla swej ojczyzny i żeby, jeśli zajdzie potrzeba, umierał dla niej bez jednego drgnienia strachu, bez jednego westchnienia żalu, taksamo, jak ja. No, i wszystko.

Oddał nam cześć po wojskowemu.

Wyprowadzili.

Zaczął się budzić dzień. Poszedłem do al-

kierza, gdzie tej nocy miał spać. Otwarłem okno. Brzask dnia już się zaczynał. Ranek... Po drugiej stronie drogi sześciu żołnierzy szybko wybierało łopatami dół w piasku. Odszedłem w głąb izby. Odwróciłem się twarzą do ściany. Boże mój!... Było już jasno, kiedy wróciłem do okna. Mogłem już widzieć spokojnie. Na kupie piasku, pod strażą dwunastu żołnierzy z karabinami u nogi, bokiem do mnie zwrócony siedział spokojnie. Zdjęto mu już kurtkę powstańczą. Był w koszuli i tę koszulę miał rozerwaną na piersiach. W rękach ściśniętych trzymał między kolanami fotografijkę syna Piotrusia. Głowa zwieszona, włosy spadły na czoło, oczy w tej fotografii utopione.

Zaszedł pluton żołnierzy, należący do jego własnej rotы, z za węgła karczmy. Stał ten pluton naprzeciwko. Von Tauwetter prowadził. Żołnierze — broń u nogi. Stoją. Minęła chwila, druga, trzecia... Czekam. Czekam, żeby Tauwetter dał komendę. Nic, cisza. Nic, cisza. Nie może dać komendy. Tamten siedział wciąż z oczami w swoim obrazku. Miałem złudzenie, że może już, tak siedząc, umarł. Przez chwilę miałem tę ulgę. Czekam. Aż oto podniósł głowę, jak ciężar tysiącpudowy. Stał na kupie piasku. Nogi mu się zarobiły w sypkiej ziemi, więc się poprawił, raz i drugi. Obejrzał się poza siebie, odgarnął włosy

z czoła i spojrział w żołnierzy. No, chwała Bogu, wróciło nań to wykrzywienie twarzy, ta pogarda, co ją miał w sobie na sądzie. Widziałem, jak powoli obejmowała mu twarz, oczy, czoło. Byłem szczęśliwy że tak właśnie, z dumą... Że Rozłucki... Czułem, jak wielką swoją wolą zmieniał się w nieczułego trupa, jak się przeistoczył w coś innego.

Rzekł:

— Zdorowo rebiata!

— Zdrawia żelajem waszemu błahorodju! — zawrzęsneli żołnierze plutonu, jak jeden człowiek.

Podszedł Jewsiejenko, żeby mu oczy zawiązać. Odepchnął go oczami. Feldfelbel odszedł. Przycisnął tedy do serca ową małą fotografijkę, zamknął oczy. Uchyliły mu się usta od wyższego, pięknego uśmiechu. Zamknąłem i ja oczy... Przypadłem piersiami do ściany. Czekam, czekam, czekam. Nareszcie — tarrach!

Geometra Knopf zdjął czapkę i coś tam suchemi wargami do siebie szeptał. Guńkiewicz grzebał patykiem w popiele ogniska, jakby pragnął pozakopywać sowite, pijackie łzy, kapiące z jego oczu.

Zapanowała cisza. Wołały się echa po leśnych górach...

Wtem pisarz gminny zwrócił się do generała z pytaniem:

— Proszę też łaski pana generała, a gdzie, na przykład, jest teraz ten mały syneček, ów wtedy sześćioletni Piotruś?

— A tobie to na co wiedzieć, gdzie on? — grubijańsko i twardo odpowiedział generał.

— Ciekawość mię wzięła wiedzieć, czy się też spełniła ostatnia wola i rozkaz onego powstańca?

— Nie twoja to rzecz i ty o takie rzeczy nie śmiej mnie pytać — słyszysz!

— Ja się też odrazu dorozumiałem — odrzekł pisarz, patrząc swemi szelmowskimi oczami, z bezczelną drwiną prosto w oczy starego generała, — ja się też odrazu dorozumiałem, że z tej twojej ostatniej woli, mój ty «kapitanie Rymwidzie», tego się dyabeł musiał uśmieć.

I-17.654.



645351 5—
17. V. 67r.





I
17.654